

Nie oswajam

Rozmowa z Maciejem Nabrdalikiem, autorem Zdjęcia Roku w konkursie Grand Press Photo 2007

Bywa Pan rasowym paparazzim?

Bynajmniej. Według mnie paparazzi to fotoreporter, który nie pokazuje się w momencie robienia zdjęcia. Na drugi dzień osoba fotografowana widzi swoje zdjęcie w prasie i dziwi się, że była widziana. Zdjęcie Kazimierza Marcinkiewicza jest zdjęciem reporterskim, był premier widział mnie, powiedziałem mu “dobranoc”. Paparazzim nigdy nie byłem i nie będę.

Pracuje Pan jednak dla “Super Expressu”, gazety, która z założenia powinna publikować zdjęcia robione właśnie przez paparazzich.

Bardzo by chciała, ale takich fotografów jest mało na rynku. Robienie zdjęć z ukrycia nie jest zgodne z moją etyką. Poza tym mam inną definicję osoby publicznej niż gazety. U nas są to głównie telewizyjne gwiazdy i gwiazdki. A mnie osoby występujące w telewizji – kiedy zejda z planu – przestają interesować, stają się zwykłymi ludźmi. Nie mam prawa wchodzić w ich życie. Rękami i nogami bronię się przed robieniem takich zdjęć. Może gdyby to był polityk, który zrobił jakiś przekręt... Według mnie osoba, która bierze pieniądze z publicznej kasy, z tego właśnie powodu staje się osobą publiczną.

Przewodniczący jury tegorocznego Grand Press Photo Jean-Marc Bouju powiedział, że udało się Panu uchwycić moment, w którym bohater myśli, że jest już niewidoczny, nie kryje się za żadną maską. Pokazuje człowieka przegranego, w kluczowym momencie swojego życia.

Robiłem zdjęcie szerokim kątem, byłem pół metra od tej szyby. Kazimierz Marcinkiewicz mógł myśleć, że jest niewidoczny, ale niemożliwe, żeby mnie nie widział. Nie pierwszy raz jechał tą limuzyną i nie pierwszy raz robiono mu zdjęcie w momencie, kiedy odjeżdża. Miałem dużo szczęścia, że spojrział na mnie przez tę szparę, a nie przez zasłonkę w oknie auta.

Dlaczego “SE” nie opublikował tego zdjęcia?

Przede wszystkim zostało wykonane i dostarczone bardzo późno. Kolega, który robił ze mną zdjęcia, zawiózł je wcześniej.

Nie było Panu żal, że nie poszło do druku?

Często jest mi żal, ale godzę się z tym – taki jest charakter mojej gazety. Zdjęć nie robię tylko po to, żeby się ukazały. To jest moja pasja. Lubię to robić i wierzę, że dobre prędzej czy później będą opublikowane: tak jak w tym przypadku po konkursie albo gdy agencja “Super Expressu” gdzieś dalej je sprzeda.

Fotografuje Pan polityków, bo są to znane twarze, które łatwo sprzedać, czy interesują oni Pana jako zjawisko społeczne?

Dość długo starałem się o taką działkę w “Super Expressie”. Pracuję na wierszówce, więc trochę ryzykuję, że moje zdjęcia nie będą się ukazywać. Na szczęście wcześniej czy później któryś z tych polityków staje się bohaterem artykułów, w których moje zdjęcia idą.

Jestem nieśmiały. Nie lubię krzyczeć do ludzi, żeby spojrzeli w moją stronę, jak to się robi przy fotografowaniu gwiazd. Wolę robić newsy, bo to są rzeczy nie do przewidzenia, niereżyserowane, przynajmniej przez nas, fotoreporterów.

Oswaja Pan bohaterów z aparatem, by zapomnieli, że są fotografowani?

W fotoreportażach społecznych, których robię mniej, bardzo ważne jest to, żeby stać się niewidocznym. W przypadku polityków nie ma czegoś takiego jak oswajanie. Przeważnie działamy w grupie. Politycy są przyzwyczajeni do obecności reporterów.

Zdjęcie, gdy kandydujący na prezydenta Lech Kaczyński w swoim prywatnym mieszkaniu hušta na huštawce wnuczkę, wymagało jednak jakiegoś oblaskawienia.

Wstydzę się trochę sposobu, w jaki doszło do zrobienia tego zdjęcia. Miałem dyżur weekendowy w redakcji. Kolega dziennikarz zadzwonił domofonem, pani Maria Kaczyńska zapytała, czy jesteśmy ze sztabu wyborczego, kolega odpowiedział coś niewyraźnie. Schowałem się na półpiętrze, powiedziałem do niego: “Jak ich przekonasz, to wejdę”. Dziennikarz miał ze sobą kwiaty i trzymając je łodygami do góry, powiedział do Marii Kaczyńskiej: “Jak nas pani wpuści, to dostanie

pani kwiaty”, czyli zachował się w sposób dla mnie niedopuszczalny – postawił warunek. To była już końcówka kampanii i pewnie dlatego nas wpuszczono. Lech Kaczyński był podenerwowany, ale jego zachowanie podczas zabawy z wnuczką było już naturalne.

W czasie kampanii Lech Kaczyński zmienił się niesamowicie, a pod jej koniec nie okazywał już zupełnie dystansu do mediów. Przypuszczam, że w tamtym czasie każdy tak samo pewny siebie reporter jak mój dziennikarz mógłby wejść do jego domu.

Oglądając zdjęcia polityków lub nawet newsowe w polskiej prasie, odnoszę wrażenie, że wśród fotoreporterów panuje odruch stadny. Fotoreporterzy rzadko szukają indywidualnego podejścia do tematu. To wynik patrzenia konkurencji na ręce czy na przykład ograniczeń ze strony Biura Ochrony Rządu?

I tego, i tego. Miejsca wyznaczone przez BOR są zwykle tak małe, że trudno o inną perspektywę. Stąd naśladowanie siebie nawzajem przez fotoreporterów. Ale trzeba pamiętać, że fotografie do druku wybiera fotoedytor. W większości redakcji na kolegiach porównuje się nie tylko jedynki. Konkurencją dla fotoreporterów w gazetach są fotoreporterzy agencyjni. Trzeba teraz robić to samo co agencja, ewentualnie plus coś własnego. Bo jeśli w agencji będzie może nawet oczywisty kadr, ale fotoreporter gazety takiego zdjęcia nie zrobi, jest ryzyko, że fotoedytor wybierze agencyjne. Wydaje mi się, że wydawcy wychodzą z błędnego założenia, iż czytelnik codziennie kupuje wszystkie gazety i je porównuje. A tak przecież nie jest.

Walczysz Pan o to, żeby przeforsować do druku zdjęcie, które Pan uważa za najlepsze?

Rzadko mam na to szansę, bo w momencie wyboru przez fotoedytora nie ma mnie zwykle fizycznie w redakcji – jestem w miejscu, w którym coś się dzieje, i stamtąd wysyłam zdjęcia. Moje zdjęcia i tak nie zginą, trafią do archiwum i w innym czasie mogą zostać wykorzystane. Robiłem na przykład zdjęcie Izabelli Trojanowskiej z córką. I nagle zza jej pleców wyłonił się wicemarszałek Wojciech Olejniczak, który ewidentnie wzrokiem mierzył wdzięki tych pań. Przekadrowałem, zrobiłem jemu zdjęcie i przy okazji publikacji właściwego tematu namówiłem fotoedytorów, by puszczono to zdjęcie jako taki stoperek – ciekawostkę.

Fotografowania do prasy nauczył się Pan w USA.

Pojechałem jako student z kolegami do miejscowości Cape May w New Jersey w USA, żeby popracować. Cape May to taki luksusowy, wiktoriański kurort. Zatrudniłem się na stacji benzynowej. Jej właściciel z racji moich gabarytów chciał, żebym nosił silniki, zmieniał olej i tak dalej. Przepracowałem więc tam tylko sześć godzin. Później dzięki zbiegowi okoliczności dostałem pracę ratownika na basenie w luksusowym hotelu. Po kilku miesiącach właściciel postanowił zatrudnić menedżera basenu. Przyszedł facet, Szkot, wypytywał, jakie mam hobby, a już wtedy była nim fotografia. Obejrzał kilka zdjęć i powiedział: “Masz oko”. Okazało się, że ten Szkot to Jack Wright, były wydawca między innymi “Rolling Stone Magazine” i redaktor naczelny kilku magazynów, który z powodu zawirowań osobistych postanowił zmienić swoje życie. Długo jednak bez mediów nie wytrzymał, w swoim domu założył małą redakcję lokalnego tygodnika i w ciągu kilku tygodni opanował cały lokalny rynek reklamowy. Zdjęcia zlecał mnie. Głównie były to fotografie uśmiechniętych, objętych turystów, ale na okładki trafiały ciekawsze zdjęcia. I te okładki rekompensowały mi brak pieniędzy. Jack namawiał mnie, żebym rzucił pracę na basenie, żebym robił to, co kocham, czyli zdjęcia. W końcu się zgodziłem, bo czułem, że fotografowanie może być moim zawodem.

Udało mi się asystować w profesjonalnej sesji mody dla “GQ”, którą robiono właśnie w hotelu w Cape May. Zaprzyjaźniłem się z ekipą, która przy niej pracowała, i dzięki temu pracowałem przy kilku innych. Zdobyłem wiedzę, którą do tej pory wykorzystuję przy pracy w studiu.

Robił Pan w USA zdjęcia politykom?

Jednemu. Gubernator New Jersey Jim McGreevey był kiedyś na przyjęciu w hotelu w Cape May, podczas którego robiłem zdjęcia. Później wybuchła afera obyczajowa. Gubernator oświadczył, że jest homoseksualistą, i zatrudnił swojego bliskiego przyjaciela na odpowiedzialnym stanowisku, mimo braku kompetencji. Nie próbowałem sprzedać tego zdjęcia do innych tytułów. Pieniądze to nie wszystko.

W jaki sposób w USA fotografuje się polityków?

Politycy w USA są bardzo otwarci na obecność fotoreporterów. Wiedzą, że bez mediów po prostu nie istnieją.

Jak Pan trafił do “Super Expressu”?

Praca w “Super Expressie” wiąże się z tym samym basenem. Byłem już taką lokalną sławą: wyglądam charakterystycznie, chodziłem z aparatem non stop, wszyscy nazywali mnie “Magic”, bo tak wymawiano moje imię. Na basem chodziłem już jako gość, żeby popływać. Pewnego dnia usłyszałem na basenie polski głos. Przedstawiłem się, powiedziałem, co robię, pokazałem kilka numerów “Exit Zero” – tygodnika, który założył Jack. Okazało się, że spotkałem prezesa ZPR-ów Zbigniewa Benbenka. Opowiedział mi o tytułach, które wydają w Polsce, i o stacjach radiowych, które należały do spółki. Niewiele mi te tytuły mówiły, ale znalazłem w Internecie stronę “Super Expressu”. Tam na dole był link – “praca u nas”: “poszukujemy fotoreporterów z dużym stażem, z małym stażem...”. Akurat powstawał “Fakt” i sporo fotoreporterów odeszło z “SE”. Wróciłem do Polski skończyć studia, wysłałem do redakcji CD ze zdjęciami z USA. Naiwnie wierzyłem, że zrobią wrażenie. Piotr Bławicki, wówczas szef działu foto, powiedział, że nie widzi w nich nic takiego, żeby “musiał mieć w redakcji tego człowieka”, ale coś go w moich zdjęciach zaintrygowało. Zapytał, czego oczekuję, odpowiedziałem, że chciałbym, żeby publikowano moje zdjęcia.

Pierwsze zlecenie to było zrobienie zdjęcia napisu na murze przy Trasie Łazienkowskiej “TVP kłamie”.

Po pewnym czasie chciano mnie zwolnić, o czym dowiedziałem się wiele miesięcy później. Zostałem jednak, bo szybko się uczyłem i nie popełniałem dwa razy tych samych błędów.

Pana największe błędy?

Imponowało mi bycie fotoreporterem. Teraz wiem, że jest to najgorsza cecha, która zdarza się wśród początkujących dosyć często. Tu potrzeba dużo pokory.

Agencja “Super Expressu” sprzedaje zdjęcia nie tylko prasowe, ale też studyjne. Te drugie także dają Panu satysfakcję zawodową?

Dobrze się czuję w studiu, ale moje portfolio studyjne nie jest zbyt obfite przez to, że przy takich zdjęciach nie wszystko zależy ode mnie jako autora. Muszę liczyć się z wymogami zamawiających – tło takie, a nie inne – i gwiazd, które są umówione na takie, a nie inne zdjęcia.

Kiedyś robiłem sesję Dody – Doroty Rabczewskiej. Była już dosyć znana, ale nie miała jeszcze profesjonalnych zdjęć. Ze stylistką Magdą Naumowicz mieliśmy pomysł na granicy kiczu: Doda w prowokującej pozie, na skórze tygrysa. Po dwóch godzinach makijażu położyła się na głowie tygrysa. Zrobiłem jedno zdjęcie. Wstała, powiedziała, że to boli, i rzuciła: – “Sam się, k..., tak połącz”. Wysłała do bufetu. Na szczęście ktoś ją przekonał do powrotu. Potem te zdjęcia świetnie się sprzedawały.

W przypadku ustawianych zdjęć studyjnych używa się Photoshopa. Uczestnik tegorocznego konkursu Grand Press Photo Piotr Skórnicki, używając go, dokonał jednak zmian w zdjęciu prasowym.

Dokonał i poniósł za to surową karę. Szkoda, bo to bardzo dobry fotograf. Trzeba jednak pamiętać, że przyznał się po męsku. Oddał nagrody. To nie jest jakiś precedens na skalę światową albo nawet Polski. Zdarzyło się to i w World Press Photo, i w Konkursie Polskiej Fotografii Prasowej. Tyle że teraz media działają dużo sprawniej i szybciej. O Piotrze słyszeli wszyscy, o poprzednich przypadkach wiedzieli tylko zainteresowani.

Największym agencjom zdarzało się opublikować zdjęcia, w które autor ingerował bardzo nieudolnie, a przecież tam cały sztab ludzi zajmuje się oglądaniem, obrabianiem i opisywaniem zdjęć. Poza tym trzeba mieć jakieś zaufanie do uczestników konkursu, który organizowany jest wyłącznie dla profesjonalistów. Dlatego trochę dziwiły mnie komentarze, które sugerowały, że ten przypadek rzuca cień na konkurs. Nie była to wina ani organizatora, ani jury.

Maciej Nabrdalik

Ukończył informatykę w języku angielskim – kierunek Computer Systems and Networks na

Wydziale Elektroniki i Technik Informatycznych na Politechnice Warszawskiej. Zawodowo fotografuje od 2001 roku, od roku 2003 pracuje w "Super Expressie". Robi zdjęcia aparatem Canon EOS 1D Mk II i obiektywami Canon głównie serii L (16-35, 24-70, 135, 70-200). Rada dla zaczynających w zawodzie fotoreportera: – Oglądać dużo zdjęć nie tylko współczesnych fotoreporterów, ale też, a może głównie, klasyków i rozmawiać o fotografii, a mniej o sprzęcie.

Rozmawiał **Andrzej Klim**